

PAWEŁ BERĘSEWICZ

**WIĘCEJ
NIŻ KLUB**



Paweł Beręsewicz
Więcej niż klub

© by Paweł Beręsewicz
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka: Elżbieta Chojna

Korekta: Lidia Kowalczyk,
Aleksandra Różanek, Joanna Pijewska

Wydanie II

ISBN 978-83-7672-413-3

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

ROZDZIAŁ I



I oto Leo Messi, prowadząc piłkę przy nodze, z kocią zwinnością zbliża się do Tatinhi...!

– Do Tatinha! – poprawił Tatinho.

– Do Ta...!

– Ale Tatinho zbyt doświadczonym jest zawodnikiem, żeby dać się nabrać na te dziecinne sztuczki! Po błyskotliwym przechwycie mija osłupiałego Messiego i pięknym precyzyjnym strzałem pakuje piłkę tuż przy słupku! Gooooooooooooooooooooooooooooo! Gol! Gol! Gol! Gol! Gol! Gol! Gol! Gol! 10:9 dla Brazylii! – Tatinho rzucił się na kolana i z podniesionymi rękami przejechał trzy metry po lakierowanym parkiecie. Zahamował tuż przed stołem, wstał i z wyciągniętą ręką podszedł do Messiego. – No cóż, synu, dziękuję za grę. Może kiedyś będą z ciebie ludzie, ale na razie swojemu Tatinhu możesz najwyżej buty wiązać przed meczem.

– Ale przecież był faul! – pisnął wściekły Messi.

Jego postrzępiona grzywka w kolorze słowińskich wydm przylgnęła do błyszczącego czoła pociemniałymi od potu

końcówkami, a zawadiackie piegi zbladły nieco na gniewnym ciemnoróżowym tle.

Tatinho bezradnie rozłożył ręce.

– Nie faul, tylko twarda męska gra, synu.

– Tyłkiem we mnie wszedłeś! – żółdkował się Messi.

– To się nazywa gra ciałem.

– Na boisku od razu byś żółtą kartkę dostał za taką grę ciałem!

– Na boisku to ty byś dostał kartkę za dyskusje z sędzią.

– Przecież nie ma sędziego!

– Tym bardziej! – stwierdził Tatinho. – Nie ma sędziego, a ty i tak podważasz jego decyzje. Za to, to już byłaby czerwona.

Messi, nieco przygnieciony ciężarem tej żelaznej logiki, wszedł przez swoją bramkę do kuchni i zanurkował pod szafkę w poszukiwaniu tenisowej piłeczki. Na wątlých plecach w barwach *blaugrany* żółciła się dumnie ogromna dziesiątka.

– No to co? Rewanżyk? – rzucił zapalczywie, gramoląc się z kolan.

Zamiast rękawicy cisnął na podłogę lekko przykurzoną żółtozieloną kulkę.

– A może już starczy? – sapnął Tatinho.

– O, widzę, że ktoś tu nie ma siły! – drwiący uśmiech wpisany w trójkątną brodę odsłonił rząd białych zębów.

– Co? – oburzył się Tatinho. – Ja nie mam siły? Po takim spacerku? Ja po prostu nie chcę cię za bardzo dołować. Żebyś nie stracił wiary w siebie.

– Dobra, dobra! – mruknął Messi, schylając się po piłeczkę. – Grasz czy walkower?

– Tak ci się spodobało to przegrywanie?

– Teraz to ty już, tata, nie masz szans!

– No cóż, proszę państwa – westchnął Tatinho. – Wygląda na to, że Canarinhos znów będą musieli dać lekcję futbolu trampkarzom z Fruteksu Pięknogóra.

Messi fuknął jak rozjuszony byk, upuścił piłeczkę i, zanim zdążyła podskoczyć, zdusił ją zręcznie wewnętrzną stroną stopy tak, że wolno i bezszelestnie poturlała się w prawo. Rosły obrońca Canarinhos zrobił nieznaczny krok w bok, spodziewając się próby ataku tą stroną. Dokładnie w momencie, kiedy środek jego znacznej ciężkości przenosił się na lewą nogę, szybka stopa Messiego posłała piłkę po przekątnej w stronę pomalowanej na beżowo ściany. Tatinho wykonał rozpaczliwą próbę przeniesienia ciężaru z powrotem w prawo, gdy tymczasem odbita od bandy piłeczka turlała się już za jego plecami w przeciwnym kierunku. Messi zwinnie przemknął niebronioną stroną i dopadł do bezbłędnego podania od ściany. Płaskim mocnym strzałem posłał futbolówkę (chwilowo graną przez tenisówkę) w światło drzwi, w których nagle pojawiła się Anka i całkiem nieświadomie postawiła nogę na drodze do szczęścia kibiców i zawodników Fruteksu Pięknogóra w jednej piegowatej osobie.

– Ależ piękna parada! – ryknął Tatinho, przyjmując przypadkowe dogranie od córki.

Oślupiałego Messiego miał teraz za plecami, a przed sobą – pustą bramkę. Uśmiechnął się złośliwie, ukląkł na podłodze i czołem wturlał piłeczkę do kuchni.

– Gooooooooo! Canarinhos! – zawył i wyrzucił do góry ramiona.

– Hej, to nie fair! – krzyczał Messi.

– Aua! Moja noga! – piszcziała Anka, krzywiąc się tak potwornie, jakby próbowała wymusić karnego.

Mimo tej stadionowej wrzawy szczęk klucza w zamku zabrzmiał wyraźnie i złowieszczo – mama! Tatinho rozpaczliwie rzucił się do kuchni, Messi chwycił stojącą w kącie szczotkę, że niby po prostu naszła go ochota trochę sobie pozamiatać, a Anka sprawdziła w lustrze, czy wygląda wystarczająco nieszczęśliwie.

– Cześć! – zawołała mama od progu.

– Cześć, właśnie sprzątam – powiedział Messi, co, nie wiedzieć czemu, nastroiło mamę podejrzliwie.

Położyła przy wycieracze siatkę, którą przyniosła ze sklepu, a jej oczy zwięziły się jak zawsze, ilekroć na zgubę naiwnych przestępców włączał się u niej szósty zmysł.

– A coś ty taki zgrzany? – spytała, badając palcami wilgotność grzywki Messiego.

– A tak jakoś gorąco dzisiaj.

– Cześć, mamó – słabym głosem powiedziała Anka i przykuśtykała, sykając przy każdym kroku.

– Co ci się stało, córeczko? – oczy mamy zwięziły się jeszcze bardziej.

– Nic takiego – mężnie odparła Anka.

W progu kuchni pojawił się Tatinho. Miał na sobie kraciany fartuszek z gruszką i jabłuszkiem, a w ręce trzymał drewnianą łychę.

– Cześć, kochanie – powiedział. – Zaraz będą powidła.

Powidłami w domu państwa Rucińskich nazywano obiad, a właściwie każdy posiłek. Była to pamiątka po trudnych wczesnych latach ich wspólnego życia, kiedy czasami musieli się żywić prawie wyłącznie śliwkowym smarowidłem. Tego akurat produktu w ich domu nie brakowało nigdy.

Tatinho zamierzał dać nogę z powrotem do kuchni, ale to było zbyt czytelne zagranie, żeby okiwać mamę.

– A co się stało Ani? – spytała stanowczo.

Usiłowała spojrzeć na całą trójkę jednocześnie, ale ponieważ było to niemożliwe, jej wzrok nerwowo wykreślał równoramienną trójkąt.

– Chyba nic specjalnego – bąknął Tatinho.

– Tak, tak – zapewniła Anka. – Na szczęście to tylko noga, a nie oko.

– Co wyście tu wyrabiali? – zdenerwowała się mama, a jej wzrok zatrzymał się na wierzchołku z Tatinhem. – Co ty tam trzymasz?

– Łyżkę – wzruszył ramionami Tatinho. – Powidła mieszałem. Myj ręczki i możemy siadać. Dzieci, nakrywajcie do sto...

– W drugiej ręce! – nie dała się zbyć mama. – Co tam chowasz za plecami?

W niemym żądaniu wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń i ruszyła w stronę kuchni, wobec czego Tatinho przystąpił do pospiesznego odwrotu. Wkrótce jednak, przyparty do linii szafek, zrozumiał, że dalszy opór jest bezcelowy, i potulnie wyciągnął zza pleców rękę z żółtozielonym, okrągłym i niebudzącym najmniejszych wątpliwości dowodem przestępstwa.

Konfiskata przebiegła w milczeniu. Piłeczka znikła w przepastnej torbie i zazgrzytały nad nią zęby błyskawicznego zamka. Wyraz cierpienia zniknął z twarzy Anki, a Messi i Tatinho wymienili ukradkowe spojrzenia. Nie było w nich rozpacz. Stracili wprawdzie już trzecią piłkę w tym miesiącu, ale w dobrane ukrytej plastikowej puszcze zostały jeszcze dwie.



Tatinho nie zawsze gotował powidła. Najczęściej w poniedziałki, środy i piątki. W pozostałe dni mama. Ta wymiennosc pozycji jakoś tak z rozpędu przeniosła się do domu ze wspólnie

prowadzonego biznesu, dzięki któremu mogli w miarę dostatnio żyć i w nie najgorszych warunkach wychowywać dwójkę dzieci: dwunastoletniego Filipa i o rok młodszą Ankę. Delikatesy Na Rogu – tak brzmiała pełna nazwa tego rodzinnego interesu, nazwa, dodajmy, która zrodziła się w bólach jako owoc trudnego kompromisu. Tatinho po długiej dyskusji zgodził się, żeby sklep nie nazywał się „Corner”, jak to sobie z piłkarska wymarzył, za to mama niechętnie przystała, żeby „o” w „Na Rogu” wypełnić na szyldzie wzorem z pięcio- i sześciokątnych latek.

W Pięknogórze było jeszcze kilka innych sklepów – ostatnio nawet przy szosie wylotowej otwarto nowy supermarket, ale delikatesy Na Rogu, dzięki szerokiemu asortymentowi, świeżemu towarowi, serdecznej obsłudze i w miarę rozsądnym cenom, od wielu lat miały rzeszę wiernych klientów. Zdarzało się nawet, że na zakupy przyjeżdżali ludzie aż z Antoszowa, co zresztą w Pięknogórze nikogo nie dziwiło, bo sąsiedniemu miasteczku dawno już przyznano zaszczytny tytuł „Królowej polskich dziur”.

Nie brakowało w tym, przyznajmy, odrobiny zawiści, bo Antoszków i czysty był, i zadbany, i liceum posiadał, i szpital, a tamtejsza fabryka stolarki budowlanej produkowała okna dachowe znane w całej Unii Europejskiej. Inna sprawa, że kiedy w pięknogórskim zamku, którego fundamenty odkryto podczas niedawnych prac archeologicznych, król Władysław Jagiełło, odpoczywając po polowaniu, obmyślał skład i taktykę na Krzyżaków, w miejscu obecnego Antoszowa szumiała dzika puszcza i bulgotały bagna. Huczne obchody dwóchsetlecia praw miejskich sąsiada kwitowano w Pięknogórze złośliwym uśmiechem, a na ręce tamtejszego burmistrza przesłano podobno urodzinową kartkę w różowe prosiaczki oraz prezent

w postaci pampersa, grzechotki i smoczka. Burmistrz ponoć podziękował listownie, a na kopercie przy nazwie „Pięknogóra”, zapewne z niemłą satysfakcją, wołami dopisał: „W POWIECIE ANTOSZOWSKIM”.

W Antoszowie znajdowała się również giełda rolna. Żeby być tam na czas, Tatinho Messiego wstawał codziennie za kwadrans czwarta, co przez większość roku wypadło grubo przed wschodem słońca, i wysłużonym fordem transitem pokonywał zawsze te same szesnaście kilometrów i siedemset pięćdziesiąt metrów. Na Rogu zawsze musiały być świeże owoce i warzywa. Sklep otwierał się o piątej i służył klientom aż do dwudziestej pierwszej, z półgodzinną przerwą od piętnastej do piętnastej trzydzieści, bo handel handlem, ale codzienne rodzinne powidła były zasadą, od której nie istniały wyjątki – powidła przygotowane przez tego z rodziców, który akurat danego dnia miał w sklepie wieczorną zmianę. W niedzielę zakupy można było zrobić tylko do południa, bo po pierwsze, niedziela to niedziela, a po drugie, tego dnia mecz swój rozgrywał Frutex Pięknogóra – to znaczy w czasach, kiedy Frutex Pięknogóra w ogóle jeszcze rozgrywał jakieś mecze.

– No i jak tam dzisiaj? – spytał przy powidłach Tatinho, kiedy opadły emocje po niespodziewanym wtargnięciu mamy na boisko. – Pieczywo zeszło?

– Prawie – mruknęła mama. – Zostało kilka bułek i paczkowane chleby.

– A ta nowa kiełbasa?

– Na razie słabo. Mówię wszystkim, że dobra, ale ludzi trudno namówić na nowe.

– Z pasztetem stryjaska się udało – zauważył Tatinho.

– Ale ile to trwało!

– Fakt. Ale teraz idzie jak woda. Może z tymi kartami też warto spróbować, co?

– Z jakimi kartami? – spytała mama.

Tatinho westchnął, jakby sam sobie współczuł ciężkiego losu.

– No, mówiłem ci – powiedział z wyrzutem. – Są takie karty z piłkarzami. Można je zbierać, do albumu wkładać, wymieniać się. Chłopaki w szkole na pewno takie mają, co Filip?

– Niektórzy – mruknął Messi.

– No właśnie! – zapalił się Tatinho. – Gdzie indziej jest na to szła, a u nas nikt tego jeszcze nie sprzedaje. Chodziłem i pytałem. Mówię ci, Zośka, to będzie hit.

Mama błagalnie spojrzała w sufit.

– Czy ty w ogóle czasem przestajesz myśleć o tej swojej piłce?

Tatinho zachnął się, jakby posądzony o najgorsze świństwo.

– Przecież właśnie teraz nie myślę o piłce, tylko o biznesie. Mam przecucie, że to chwyci.

– Tak jak te plastikowe trąbki przed mundialem? – zjadliwie przypomniała mama. – Do tej pory nam się walają po magazynie.

– Oj, ty znowu o tych trąbkach! Pomysł był dobry, tylko u nas nie ma tradycji.

– A na zbieranie kart to niby jest tradycja?

– No to trzeba ją wykreować.

– Czyli powciskać chłopakom jakieś durne obrazki za Bóg wie ile?

– Oj, bo ty w ogóle nie myślisz nowoczesnie!

– Za to z twoim nowoczesnym myśleniem tobyśmy już dawno z torbami poszli!

Im bardziej jakaś niewidzialna ręka podkreślała głośność tej przyobiedniej rozmowy, im więcej w słowach było war-

kotu, skwierczenia i syku, tym umiejętniej Messi przełączał myśli na całkiem inne kanały. To była sztuczka techniczna na najwyższym poziomie, ale, jak wiadomo, każdy trik można opanować, jeśli się odpowiednio dużo trenuje. Stół, talerze, miska, machające ręce i zaczerwienione twarze rozpląwały się wolno w drgającej mgielce, która mieszała się, kotłowała i zastygała w zielonej tafli soczystej murawy. Każde sprężyste ździebełko trawy przycięte na tej samej wysokości tworzyło gęsty dywan, po którym piłka toczyła się bez przeszkód, doskonale posłuszna najłżejszemu muśnięciu. I bieg nie męczył, wślizg nie trafiał, strzał nie chybiał. Miliony oczu wpatrzonych w każdy ruch bezcennej stopy łzawiły od przecierania. Puchar przyjemnie ciążył w rękach. Mistrzowskie confetti opadało z szelestem i osiadało na włosach jak drobinki śniegu. Błyskały flesze, grzały się kamery, las mikrofonów łowił każde słowo...

– Najadłeś się? – spytała nagle mama.

– Jest jeszcze ryż i leczo – przypomniał Tatinho.

Chyba właśnie zeszli na przerwę i odpoczywali po pierwszej połowie.

– Nie, dzięki – powiedział Messi. – Zaraz muszę wychodzić. Mam jeszcze przed treningiem zajść po Ronaldo.

Kiedy stał w przedpokoju, pakując do torby mocno starte lanki z pomarańczową podeszwą, usłyszał jeszcze, jak Tatinho mówi do mamy:

– Tylko że ja już zamówiłem partię tych kart.

Druga połowa zapowiadała się więc emocjonująco.

ROZDZIAŁ 2



Sto pięćdziesiąt pięć, sto pięćdziesiąt sześć – liczył szeptem Ronaldo i gdyby ktoś zajrzał w tej chwili z ogródka przez okno parterowego domku obok urzędu gminy, pomyślałby, że chłopak wykonuje jakiś indiański taniec.

Jego szarobłękitne oczy, trochę upiorne w grubej oprawie ciemnych rzęs i brwi, patrzyły w dół, w stronę czegoś, czego zza rządu stojących na parapecie pelargonii nie byłoby widać. Głowa ostrzyżona na ciemnobrązowego jeża i lekko zgarbione ramiona to podskakiwały, to opadały rytmicznie, jakby poruszone niewidzialną sprężyną.

– Sto siedemdziesiąt jeden, sto siedemdziesiąt dwa.

Z plakatu na ścianie w głębi pokoju lekko zamglonym, rozmarzonym wzrokiem patrzył na to wszystko sam Ronaldo – ten prawdziwy, Cristiano, z siódmką. Obok niego szerzył ogromne zęby Gareth Bale, a Karim Benzema mierzył w niebo z niewidzialnego łuku. W ogóle prawie wszystko w tym pokoju było madryckie, królewskie, „realne” i galaktyczne. Pościel: na białej kołdrze ukośny fioletowy pas i MCF wpisane w złoty okrąg z koroną. Budzik: Real Madryt. Piórniki: Real Madryt. Kubek: Real Madryt. Temperówka: wiadomo. I tylko kalendarz na ścianie: „Gmina Pięknogóra – najlepsze miejsce do życia”.

– Sto dziewięćdziesiąt osiem, sto dziewięćdziesiąt dziewięć.

– Marek, śmieci miałeś wyrzucić! – rozległ się gdzieś z wnętrza domu zniecierpliwiony kobiecy głos i nagle przysła taneczna harmonia, znikł łagodny rytm, miękkie dotychczas ruchy stały się gwałtowne, niespokojne, szarpane. Żonglowa-

na piłka zaczęła się pojawiać nad parapetem, ale za każdym razem w innym miejscu, i trzeba było ją gonić, zawracać, uspokajać.

– Dwieście pięć, dwieście sześć. – Jeszcze się udało!

– Dwieście siedem, dwieście osiem. – Cud, że nie spadła na łóżko.

– Dwieście dziewięć. – Wślizg w stronę biurka i świeca pod sufit.

– Dwieście dziesięć. – Główka na leżąco.

– Dwieście jedenaście. – Rozpaczliwe kolanko.

– Dwieście dwanaście, dwieście trzynaście. – Lewą stopą, prawą stopą.

– Dwieście piętnaście, dwieście szesnaście, dwieście siedemnaście, dwieście osiemnaście. – Coraz spokojniej, coraz rytmiczniej, coraz płynniej. Tętno wracało do normy. Głaska-na teraz raczej niż kopana piłka znowu nie podfruwiała powyżej kolan. To jedna stopa, to druga trącały ją leciutko – trochę do góry, a trochę od siebie. Wprawiały w rotację i odpychając, przyciągały. „Leć, ale wracaj” – mówiły czule. – Dwieście dziewiętnaście, dwieście dwadzieścia. Już idę, mam! – krzyknął Ronaldo.

Nie przestając żonglować, podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł do przedpokoju. Dwieście trzydzieści, dwieście trzydzieści jeden. Skręcił do kuchni i zatrzymał się przy zlewie, żeby uspokoić rytm. Dwieście czterdzieści dwa, dwieście czterdzieści trzy, dwieście czterdzieści cztery. Ręką wymacał gałkę drzwiczek, pociągnął i otworzył. Dwieście czterdzieści siedem, dwieście czterdzieści osiem. Lewą stopą podbił piłkę na wysokość lampy i przez kilka sekund żonglował głową. Dwieście pięćdziesiąt trzy, dwieście pięćdziesiąt cztery, dwieście pięćdziesiąt pięć. Nagle skłon, chwyt, wyprost i w ostat-

niej chwili stopa między podłogę a piłkę! Dwieście pięćdziesiąt sześć, dwieście pięćdziesiąt siedem. Udało się!

– Wychodzę – powiedział do mamy, która właśnie stanęła w drzwiach.

Wyglądała jak zwykle po całym dniu pracy. Dwieście pięćdziesiąt dziewięć, dwieście sześćdziesiąt. Zmatowiałymi oczami patrzyła na świat bez zainteresowania. Krótkie po-farbowane na kasztanowo włosy, które jeszcze rano sterczały bojowo w zawadiackich pazurkach, oklapły żałośnie jak nie-podlewana kępka trawy. Dwieście sześćdziesiąt pięć, dwie-ście sześćdziesiąt sześć. Policzki obwisły pod ciężarem życia, a usta, które wystarczająco się już nauśmiechały do intere-santów w sekretariacie urzędu gminy, wywinęły się w płytką podkówkę. Dwieście sześćdziesiąt dziewięć, dwieście siedem-dziesiąt.

– Ty znowu swoje? – spytała zmęczonym głosem.

– Przecież już teraz... dwieście siedemdziesiąt dwa... nic nie tłukę... dwieście siedemdziesiąt trzy – odpowiedział Ro-naldo, nie spuszczać z oka pięcioramiennych gwiazd na ofi-cjalnej piłce UEFA Champions League.

Temu mama nie mogła zaprzeczyć. Dwieście osiemdzie-siąt trzy. Na liście strat było co prawda lustro z przedpokoju, jeden klosz w żyrandolu, kilka doniczek, wazonów i szklanek, ale od dobrych paru miesięcy nic już się nie stłukło – dwieście osiemdziesiąt pięć – może więc jednak warto było wytrzy-mać, aż się nauczy, zamiast próbować z nim walczyć. Walczyć zresztą nie miała siły. Dwieście dziewięćdziesiąt, dwieście dziewięćdziesiąt jeden.

– Może byś przynajmniej na mnie spojrzął, jak ze mną rozmawiasz – mruknęła bardziej dla zasady.

– Nie mogę, rekord biję – wysapał i, trzymając za sobą kubek ze śmieciami, ruszył do wyjścia. – Dwieście dziewięćdziesiąt dwa. Otworzysz mi drzwi?

Mama z rezygnacją pokręciła głową, ale zrobiła, o co prosił. Dwieście dziewięćdziesiąt pięć, dwieście dziewięćdziesiąt sześć. Ronaldo ominął ją ostrożnym łukiem i wyszedł na schodki przed domem. Dwieście dziewięćdziesiąt osiem.

Drzwi zamknęły się za nim z cichym westchnieniem.



Od strony Urzędu Gminy Pięknogóra nad niewysokim grabowym żywopłotem nadpłynęła jasnowłosa głowa w granatowo-bordowej czapeczce z napisem FCB.

– Cześć, Ronaldo! – zawołała.

– Trzysta! – odkrzyknął Ronaldo i nie przestawał żonglować.

– Idziesz na trening? – spytał Messi.

Trzysta siedem, trzysta osiem.

– Idę, tylko rekord pobiję. A potem muszę kubek odnieść i buty wziąć z domu.

Messi zerknął na zegarek i niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

– Późno już – mruknął. – Znowu nam da karny wycisk.

– Trzysta piętnaście, trzysta szesnaście. – A jaki masz ten rekord?

– Czterysta pięćdziesiąt jeden – powiedział Ronaldo i piłka zaczęła skakać trochę jakby szybciej.

– To ja wyrzucę te śmieci i wezmę ci buty, a ty już idź – zaproponował Messi.

Chwilę później szli chodnikiem, który przed ostatnimi wyborami odgradzono od głównej ulicy biało-czerwoną barierką. Trzysta dwadzieścia jeden, trzysta dwadzieścia dwa.

– Niezła gała – zauważył Messi.

– Yhm.

Trzysta dwadzieścia pięć, trzysta dwadzieścia sześć.

– Nówka?

– Yhm.

Trzysta dwadzieścia osiem, trzysta dwadzieścia dziewięć.

– Tata ci przysłał?

– Yhm.

Trzysta trzydzieści jeden, trzysta trzydzieści dwa.

– A jedziecie w końcu do niego?

Trzysta trzydzieści pięć, trzysta trzydzieści sześć, trzysta trzydzieści siedem.

Ojciec Ronalda pracował w Irlandii. Wyjechał rok temu, „żeby się rozejrzeć”. „Zorganizuję jakąś robotę i przyślę kasę na bilety” – powiedział na do widzenia. – „Dwa, góra trzy miesiące”. Ronaldo był już spakowany. Sprawdził nawet w internecie adres miejscowego klubu piłkarskiego. Shamrock Rovers. Można dojechać autobusem 49. Zapisał się też na angielski. Najlepszy strzelec to po ichniemu „*top scorer*”.

Ale ojciec najpierw nie dzwonił, a potem zaczął, tylko że ciągle coś było nie tak. Słabo płacą, szuka mieszkania, tęskni, ale jeszcze nie teraz. Przysłał breloczek z Realem Madryt. W końcu zdesperowana matka wsiadła w samolot i poleciała sprawdzić, co się dzieje. Kiedy wróciła, powiedziała do syna: „Możesz się rozpakować”. „A co? Nie jedziemy?” – zdziwił się wtedy Ronaldo. „Może kiedyś pojedziemy – burknęła – ale nie można tak ciągle żyć na walizkach”.

Trzysta sześćdziesiąt pięć, trzysta sześćdziesiąt sześć. Minęli warsztat i remizę ochotniczej straży pożarnej. Słońce wciąż wprawdzie atakowało pressingiem jak przez całą drugą połowę wakacji, ale powietrze było już lżejsze, bardziej przejrzyste i nie stanowiło takiej szczelnej zapory dla myśli, które coraz bardziej skłonne były do śmiałych wypadów w przód. Do początku szkoły, do pierwszego meczu, do testu kompetencji i wreszcie jednym susem do jakiejś wielkiej, pięknej, świetlistej kariery.

– To ile to ma być? – Messi otrząsnął się z zamyślenia. – Czteryście pięćdziesiąt?

– I jeszcze jeden – uściślił Ronaldo. – Trzysta osiemdziesiąt dziewięć, trzysta dziewięćdziesiąt.

– A wiesz, że Leo kiedyś zrobił tysiąc dwieście?

Po tej oczywistej prowokacji piłka odbiła się pod jakimś innym kątem i Ronaldo zatańczył, żeby ratować rekord. Trzysta dziewięćdziesiąt siedem, trzysta dziewięćdziesiąt osiem, trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć.

– To słabiutko – mruknął, kiedy sytuacja znów była pod kontrolą. – Cristiano to i dwa tysiące spokojnie by trzasnął.

– Ta. Chyba na PlayStation.

– A Messi toby nawet nie umiał włączyć PlayStation.

– A Ronaldo toby chyba musiał u fryzjera grać, bo tam cały dzień spędza.

Czteryście dziesięć, czterysta jedenaście. Piłka podskakiwała teraz szybciej i wyżej i kopnięcia nie były już pieszczotliwe. Żonglowanie i jednoczesne bronienie honoru słynnego CR7 nie jest wcale takie łatwe.

– Patrz, chłoptasiu... czterysta siedemnaście... jak to się robi w Madrycie... czterysta dziewiętnaście – wyzywająco powiedział Ronaldo. – Pyk-pyk, pyk-pyk, czterysta dwadzie-

ścia, czterysta dwadzieścia jeden. Ucz się od mistrzuńcia. Czterysta dwadzieścia sześć, czterysta dwadzieścia siedem. Cristiano Ronaldo... czterysta dwadzieścia osiem... z uśmiechem na ustach... czterysta trzydzieści... zbliża się do rekordu... czterysta trzydzieści cztery... A Leo Messi... czterysta trzydzieści siedem... stoi i patrzy z zazdrością... czterysta czterdzieści... Bo prawda jest taka... czterysta czterdzieści trzy... że Leo Messi... czterysta czterdzieści cztery... może Ronaldowi... czterysta czterdzieści siedem... po piłkę... czterysta czterdzieści dziewięć... latać... czterysta pięć... – urwał, bo nie poczuł ciężaru na stopie. – Ty świnio jedna! – zawył. – Zaraz cię kopnę w tyłek!

ROZDZIAŁ 3



Stadion Gminnego Klubu Sportowego Frutex Pięknogóra lata świetności miał już za sobą. Jak dawniej wprawdzie raz w tygodniu sumiennie kosił murawę pan Mietek na czerwonym traktorku, a w największe upały zraszała boisko sycząca polewaczka, ale w obu polach karnych smutno brązowiły się nieprzyjemne łysiny, z których przy podbramkowych zamieszaniach unosiły się kłęby kurzu, odbierając arbitrom pewność decyzji. Technologia *goal line* w Pięknogórze nie dysponowano. Na niskim, szerokim nasypie wzdłuż jednej z bocznych linii usytuowane były trybuny. W dawnych cza-

sach siedziało się na pomalowanych na niebiesko drewnianych ławkach. Z większości z nich dawno pozłaziła farba, jeżeli w ogóle się ostały, ale prawdziwy kibic podkłada sweter pod tyłek i siada na betonie. Po przeciwległej stronie boiska na dwóch zardzewiałych słupach wznosiła się tablica z okrągłym zegarem, którego krótsza wskazówka zastygła między pierwszą a drugą, a dłuższa gdzieś się zapodziała. W niedokończonym od lat meczu wynik brzmiał: „ospodar e – 0, ości – 1”.

Za bramką pod rzędem wysokich topoli znajdował się budynek klubowy. Szumną tę nazwę z lekkim zawstydzeniem nosił płaski parterowy baraczek z obłupanym tynkiem i kratami w oknach. W środku, po obu stronach długiego korytarza pomalowanego ciemnożółtą lamperią, znajdowały się szatnie, magazynek sprzętu, pokój dla sędziów, tak zwana kanciapa sztabu szkoleniowego oraz prysznic, z których ostatnia kropła wody skapnęła chyba jeszcze zanim Robert Lewandowski przerósł futbolową piłkę. Do zielonych drzwi wejściowych pinezkami przypięty był plakat z żółto-zielonym logo Fruteksu Pięknogóra i odręcznie wypisanym ogłoszeniem: „Pierwszy powakacyjny trening sekcji młodzieżowej w poniedziałek 31 sierpnia, godz. 16.30”.

Sekcja młodzieżowa piłki nożnej była obecnie jedyną sekcją klubu, który w 2001 roku w 1/16 finału Pucharu Polski o mało nie wyeliminował Legii Warszawa. Starsi mieszkańcy Pięknogóry do dziś pamiętają to pochmurne popołudnie dwudziestego września, kiedy autokar na stołecznych numerach przejechał przez przystrojoną bramę i stanął przed budynkiem klubowym. Warszawskie gwiazdy, wychodząc na murawę, dowcipnie oglądały sobie podeszwy, czy przypadkiem nie przykleiło im się coś do butów.